

# MOJA

# BOLIWIA



## Cochabamba

Do Cochabamby dotarłem w niedzielę, 10 lipca, po 20:00. Przywitał mnie Wigner, który w tym czasie jako jedyny z domowników przebywał w tym domu. Specjalnie na nasz przyjazd zamówił pizzę (no bo jeśli był sam, to nie przygotowywał kolacji tylko dla siebie ☺).

Tomek rozmawiał z nim po hiszpańsku, a ja tylko domyślałem się o czym rozmawiają. Tak zaczęły się wszelkie uroki życia obcokrajowca nie znającego języka. Ustaliliśmy, że rano o 7:00 zbiórka na śniadaniu i razem z Tomkiem pojedziemy do Instytutu. Wigner pokazał mi mój nowy pokój, który od razu przypadł mi do gustu - dwa duże okna z widokiem na ogród i plac przed kaplicą, bez nadmiaru mebli i z własną łazienką.

Następnego ranka wyjechaliśmy zaraz po śniadaniu, aby na spokojnie poznać drogę. Jechaliśmy samochodem, więc instrukcja była taka: „No, idziesz tą drogą aż do skrzyżowania z rzeczką po środku, skręcasz w lewo i idziesz aż do końca drogi”. Tak też zrobiliśmy. Faktycznie droga prosta, ale bardzo okrężna. Tomek do Instytutu jeździł na rowerze, bo szybciej i wygodniej, więc mi te argumenty też się spodobały. „Można jechać na skróty, ale to dość skomplikowane na początek” - usłyszałem. „Jak wrócimy do domu, to skołujemy ci jakiś rower. Może jeszcze jest ten, na którym ja jeździłem. Z biegiem czasu poznasz jakiś skrót”. Dojechaliśmy pod bramę Instytutu Językowego Maryknoll. Portier otworzył bramę, wysiedliśmy na parkingu i weszliśmy do środka. Tomek szybko został rozpoznany przez kilku nauczycieli i zaczął z nimi rozmawiać, a ja zacząłem się rozglądać. Pierwsza myśl: „Jak ja się tu odnajdę???”. Kiedy zaczęliśmy z Tomkiem rozmawiać po polsku, podszedł do nas Jan, współbrat ze Słowacji, który, jak się dowiedziałem, razem ze mną miał odbyć kurs hiszpańskiego, popracować pół roku i wrócić na Słowację.

Przedstawiliśmy się sobie nawzajem i już zrobiło się jakoś spokojniej, bo jak się okazało, Jan

też miał podobne myśli jak ja. No i Słowak, czyli nie potrzeba nam było hiszpańskiego, żeby się porozumiewać 😊. Przywitała nas siostra Katty De Vito i poprowadziła do sali na górnym piętrze, gdzie miało być powitanie nowych studentów. Na korytarzu gwar, słychać tylko hiszpański i... angielski, bo większość studentów była z USA. Zdążyłem tylko umówić się z Tomkiem, że dam mu znać, jak skończymy.

Spotkanie jak to spotkanie organizacyjne - tylko pracownicy wiedzieli o co w tym wszystkim chodzi. Chcieli nam przekazać swoją wiedzę posługując się, rzecz jasna, hiszpańskim, ale też... angielskim. Poza nami i siostrami z Korei, wszyscy mówili po angielsku, niektórzy nawet trochę znali hiszpański. Dostaliśmy teczkę z informacjami po hiszpańsku i po angielsku. Uświadomiłem sobie, że chyba lepiej trzeba było się przyłożyć do nauki języków w Seminarium 😊. Po kilku minutach wytężonego wsłuchiwania się w słowa siostry Katty, spojrzałem na Janka, który wyglądał jak uczestnik przysłowiowego tureckiego kazania. Zapytał, czy coś rozumiem, bo on nic. W ferworze entuzjazmu powiedziałem, że tyle o ile, ale chyba on nie rozumiał, co to znaczy. Koniec końcem coś tam rozumiałem. Że serdecznie nas witają, że czeka nas ciężka praca, że nie możemy się załamywać niepowodzeniami, że podzielą nas na grupy.. przerwa na kawę i od razu wiadomo kto jest kim: Amerykanie, Koreanki i my - Słowianie. Po przerwie instruktaż dla uczestników, którzy mieszkają u rodzin (w czasie kursu istnieje możliwość mieszkania z rodziną boliwijską - ma to być najlepsza metoda na praktykowanie języka). Nas to nie dotyczyło, bo Janek mieszkał na parafii, a ja w domu centralnym. Na koniec usłyszeliśmy podział na grupy. Zapamiętałem, że mam zajęcia z Shaun'em - klerykiem Maryknoll z USA. Pomyślałem, że nieźle mi się trafiło, bo mogłem dostać przydział z siostrą z Korei (nie żeby mi to nie pasowało, tylko że one tylko mówiły po koreańsku - tego języka nie znałem ani trochę!). Pożegnaliśmy się i z Tomkiem pojechałem do miasta - na zakupy 😊.

Tomek pokazał mi jak dojechać do centrum przy pomocy MICRO - są to stare i stale remontowane busy sprowadzone przed laty z USA, które woziły dzieci do szkoły (chyba wszyscy je kojarzą z amerykańskich filmów); owszem, jeżdżą po określonej trasie, ale bez przystanków i rozkładu jazdy - staje się po drodze przejazdu i macha ręką na zatrzymanie, po wejściu u kierowcy płaci się 1,70 Bs. i zajmuje miejsce (o ile jest, bo z reguły są przepełnione). Jako przykładowy uczeń, zaopatrzyłem się w plecak, zeszyty, piórniki, długopisy (nawet kolorowe!), ołówek, gumkę i temperówkę - no normalnie szła! Poznałem strategiczne miejsce przy poczcie, gdzie można wsiąść do dwóch MICRO, którymi można wrócić do domu. Raczej nie mam problemu z orientacją w terenie, ale po całym dniu nie

mogłem wszystkiego zapamiętać. Wróciliśmy do domu, odnaleźliśmy wspomniany rower, dokonaliśmy przeglądu, dopompowaliśmy powietrze, i z całym bagażem nowego doświadczenia odprawiłem pierwszą Mszę św. w Cochabambie, zjedliśmy kolację i poszedłem spać.

Następnego dnia umówiłem się z Jankiem, że pójdziemy razem do szkoły, bo on już poznał jakieś skróty. Kolejne dwa dni spędziliśmy na słuchaniu wprowadzeń – miałem wrażenie, że ciągle mówią o tym samym. Pierwsze lekcje zaczęły się od środy i były bardzo trudne. Mówiono do nas po hiszpańsku, niektórzy nauczyciele znali angielski więc wielokrotnie używali go do wyjaśnienia wątpliwości. Dla Shoun'a to ogromna pomoc, dla mnie nie zawsze. Nawet nie próbowałem rozmawiać po angielsku, ponieważ doszedłem do wniosku, że od początku muszę przestawić się na hiszpański – poza Jankiem nikt nie rozumiał polskiego, a to zdecydowana pomoc.

W czwartek Tomek wrócił do Laja i na pożegnanie usłyszałem od niego: „No, Stary, teraz musisz radzić sobie sam. Dasz radę!”

Pomyślałem, że dam, tylko jak ja nauczę się tego hiszpańskiego???